

Obudziła się.

Craig, słysząc te dwa, tak długo wyczekiwane słowa, przerwał szybko połączenie. Dosłownie ułamek sekundy potem popędził w kierunku drzwi, upychając swój wysłużony telefon w kieszeni wytartych džinsów. Włożył buty i wybiegł z domu, wprost na pokryty zdradziecką warstwą cienkiego lodu podjazd. Podmuch mroźnego powietrza wdarł mu się pod powieki. Cały świat zniknął zasłonięty mgłą napływających do oczu łez, jednak Craig choć niemalże ślepy, nie zatrzymał się nawet na moment. Narzucił na swój czarny golf puchową kurtkę, z trudem utrzymując równowagę.

Udało mu się dotrzeć do auta bez zaliczenia widowiskowego upadku. Zatrasnął drzwi, odcinając się od chłodu styczniowej nocy. Warknął zirytowany, gmerając przy kluczyku umieszczonym w stacyjce, podczas gdy drugą ręką szarpał zacięty suwak kurtki. Szybko się jednak zreflektował i, zostawiwszy zapięty do jednej trzeciej długości zamek, uruchomił silnik. Koła przez moment zakreśliły w miejscu, nim pojazd zyskał przyczepność i ruszył.

Nie było mnie przy niej. Powinienem cały czas czuwać przy jej łóżku, cholera.

Craig odpłynął myślami gdzieś daleko, starając się przyswoić otrzymaną przed paroma chwilami wiadomość. Nieświadomie wcisnął mocniej pedał gazu. Wyboista gruntowa droga – teraz, za sprawą grubej warstwy ubitego śniegu gładka jak stół – wiodła przez sam środek lasu. Po lewej stronie drogi, niczym bezkresna otchłań rozciągała się czerń głębokiego wąwozu. Wznosząca się z prawej strony zwarta ściana drzew pogrążyła pędzący samochód w nieprzeniknionej, gęstniejącej ciemności, którą z trudem rozpraszały światła reflektorów. Rozbijające się o przednią szybę, jak ogromny rój owadów, płatki śniegu ograniczały widoczność niemalże do zera i pogłębiały wrażenie, jakoby niespełna godzinna jazda do szpitala miała być niekończącą się nigdy podróżą przez pustkę kosmosu.

Doskonale odzwierciedlało to nastrój Craiga – miał wrażenie, jakby jego i Claire przez ostatnie siedem miesięcy dzieliły lata świetlne.

Ponad pół roku temu, tak samo jak dziś, odebrał telefon – i tak samo jak dziś, wypadł z domu i czym prędzej popędził do szpitala. Kolana ugięły się pod nim, gdy ujrzał leżącą nieruchomo, owiniętą bandażami drobną ludzką sylwetkę, która okazała się być jego żoną. Podłączona za pomocą niezliczonej ilości rurek do stojących wokół urządzeń, niemal niewidoczna spomiędzy ponakładanych wszędzie opatrunków, obstawiona ciasno całą tą skomplikowaną, budzącą niepokój aparaturą. Sprawiała wrażenie tak małej i bezbronnej, jakby jedno dotknięcie miało sprawić, że cała rozpadnie się na kawałki.

Wybiegł stamtąd bez słowa, nie mogąc znieść widoku Claire w takim stanie.

Kolejne dni zlewały się ze sobą, tworząc nieprzerwaną spiralę bólu, napędzaną płynącymi nieustannie strumieniami łez i alkoholu. Jedynym wspomnieniem z okresu bezpośrednio po wypadku małżonki był brzęk szkła oraz dźwięcząca delikatnie odrobina współczucia w profesjonalnie obojętnym głosie lekarza: „Nie, nie potrafię stwierdzić, ile czasu jeszcze minie. Proszę się nie załamywać, nadal istnieje duża szansa na to, że pańska żona odzyska świadomość. Jeszcze nie wszystko stracone”.

Czas mijał, a Craig szalał z rozpacz, choć wkrótce zmusił się przynajmniej do zachowywania pozorów. Odstawił alkohol. Z całych sił starał się nie zaniedbywać swych codziennych obowiązków i z zewnątrz sprawiał wrażenie, iż cała sytuacja – choć niezwykle trudna – nie pogrążyła go w apatii, odbierając wszelką radość życia. Wyłącznie przed samym sobą miał odwagę, by przyznać, jak głęboką czuł rozpacz, jak wiele wysiłku kosztowało go przeżycie następnego dnia.

Znaczną część czasu spędzał na niewygodnym plastikowym krześle tuż obok łóżka Claire, w kompletnej ciszy. Ze wzrokiem utkwionym w nieruchomej sylwetce żony mozolnie utrzymywał w pamięci najdrobniejsze szczegóły. Sine żyły na jej bezwładnych, pokrytych siniakami ramionach. Spokojny, niemal beztroski wyraz twarzy usianej ciemnymi plamami strupów. Delikatnie unoszącą się i opadającą w jednostajnym rytmie klatkę piersiową, w której biło jej nadal żywe serce.

Jeszcze nie wszystko stracone, powtarzał niczym mantrę. Wbrew sobie trzymał się kurczowo tej myśli, stanowiącej jedyną

– aczkolwiek znikomą – pociechę. Nie czuł się, jakby miał jakikolwiek wybór.

Wkrótce wszystkie ubrania Craiga przesiąknęły nieprzyjemnym zapachem szpitalnych pomieszczeń – drażniącą nozdrza mieszaniną woni środków dezynfekujących, leków i śmierci.

Zbyt mało jadł.

Zbyt rzadko sypiał.

Zbyt często wrzeszczał w samotności, przeklinając tego ślepego skurwysyna, który potrafił Claire przechodzącą owego feralnego wieczora przez jezdnię.

Jego żalosną wegetację przerwało dziwne wydarzenie. Pojawiła się znikąd i równie niespodziewanie zniknęła z jego życia. Szczupła, niebieskooka blondynka o smutnym wyrazie twarzy. Pewnego dnia podeszła do niego, jak gdyby nigdy nic, na szpitalnym korytarzu. Nim zdążył zareagować, otrzymał idealnie wymierzony cios w twarz.

– Weź się w garść, człowieku! Ona cię potrzebuje! Potrzebuje męża, nie włączającego się bezmyślnie trupa! – usłyszał.

Delikatna piąstka nieznajomej nie wyrządziła mu najmniejszej krzywdy, za to jej ostre słowa sprawiły, że przez dłuższą chwilę stał skonfundowany, patrząc z otwartymi ustami na oddalającą się szybkim krokiem drobną kobietę.

Po powrocie do domu, Craig stanął przed lustrem. Przyjrzał się mężczyźnie obserwującemu go ze srebrnej tafli szkła. Dostrzegł jego niechlujny, szorstki zarost oraz długie, przetłuszczone włosy, związane niedbale w kucyk, z którego wymykały się pojedyncze kosmyki, zwijając się w zwisające smętnie spirale. Cienie pod oczami odznaczały się wyraźnie na niezdrowo bladej skórze, nadając twarzy wygląd obrzydliwej maski. Podciągnął wiszącą na nim luźno koszulkę, odsłaniając tułów – bez najmniejszego problemu był w stanie policzyć wszystkie żebra.

Masz już dość? – spytał. Jesteś już martwy?

Ból bynajmniej nie zamierzał ustąpić, jednak niespodziewanie, z dnia na dzień stał się co najmniej znośny. Małymi krokami Craig starał się, w miarę możliwości, powoli przywrócić swe życie do stanu sprzed wypadku. Wyrwawszy się z marazmu, rzucił się w wir pracy, nadal jednak codziennie odwiedzając Claire. Przestał milczeć. Prowadził za to nieskończone monologi, opowiadając jej o wszystkim i o niczym, poczynawszy od postępów w pisaniu konspektu kolejnej powieści, skończywszy na błahych informacjach o tym, co zjadł danego dnia na śniadanie.

I choć były one zaledwie namiastką prawdziwej rozmowy, to przynosiły mu ulgę. Z każdym kolejnym dniem coraz mocniej wierzył w to, że ten koszmar, prędzej czy później, dobiegnie końca.

I dobiegl. To już przeszłość. Wróciłaś do mnie, moja malutka. Znów będę mógł spojrzeć w twoje oczy, usłyszeć twój głos... Chryste, Claire, tak tęskn...

Niespodziewanie samochód zatańczył na śliskiej drodze, tracąc przyczepność. Craig, przywrócony do rzeczywistości, zakręcił kierownicą, bezskutecznie próbując opanować rozpędzoną stalową masę. Mimowolnie rzucił okiem na prędkościomierz.

Cholera, za szybko! Ty pieprzony idioto!

Auto jechało zygzakiem, zataczając coraz szersze łuki, by wreszcie z impetem wypaść z trasy. Zsuwało się z ośnieżonego nasypu wprost w zdradziecką ciemność, dodatkowo nabierając prędkości. Na widok ściętego pnia drzewa, który nagle pojawił się tuż przed maską, Craig wydał z siebie zduszony okrzyk. Odwrócił głowę, zaciskając mocno powieki. Nim całkiem zamknął oczy, dostrzegł jeszcze wiszący luźno, niezapięty pas bezpieczeństwa. Poczuł, że pojazd odrywa się od ziemi.

Chwilę potem góra i dół zaczęły zamieniać się miejscami.

Miliony małych igieł wbijały się raz po raz w jego policzki, boleśnie wyrywając z ciepłych objęć snu. Craig wygrzebał przemarznącą twarz ze śniegu i obrócił się na plecy. Ostrożnie podparł się łokciami, uważając, by nie zsunąć się w dół zbocza, na którym leżał, i rozejrzał wokół, szukając w mdłej poświacie księżyc straskanego wraku – nie łudził się, że po wypadku auto czeka los inny niż złomowanie.

Wreszcie dostrzegł ciemny, masywny kształt majaczący wśród hałd białego puchu u stóp wzniesienia. Zatem od samochodu dzielił go dystans kilkudziesięciu, może nawet kilkuset metrów – w gęstym mroku lasu niemożliwe było dokładne określenie odległości.

Wypadłem z niego, gdy się staczał? Najwyraźniej... Przecież nie pamiętam, abym od niego odchodził. Kurwa, w ogóle niczego nie pamiętam!

Craig skierował wzrok na swoje nogi. Kwaśny smak zawartości żołądka powędrował w górę przełyku, gdy w miejscu prawego kolana ujrzał krwawą miazgę, z której wystawały ostre odłamki kości. Noga zgięła się w bok tak, że łydka tworzyła z udem kąt prosty.

Nie panikuj. Nie panikuj! Poradzisz sobie jakoś! Cholera, nie wolno ci tu teraz umrzeć!

Zawierucha sprzed kilku... Czy kilkunastu? Minut, a może godzin...? Zniknęła bez śladu, tylko pojedyncze płatki sunęły leniwie ku ziemi, błyskając w srebrzystym świetle pełni. Lecz siarczysty mróz boleśnie dawał o sobie znać, szczypiąc odsłoniętą skórę. Craig naciągnął na głowę głęboki kaptur kurtki, z ulgą zanurzając twarz w miękkim materiale, a następnie chwycił zdrętwiałymi palcami suwak. Poczuł plamę wilgoci na swetrze.

Krew – stwierdził, widząc swe dłonie pokryte ciemnymi śladami. Jednak zamiast zlokalizować i obejrzeć ranę, szybko zasunął zamek po samą szyję z nadzieją, że grube warstwy ubrań znacznie spowolnią krwawienie – a przy odrobinie szczęścia może nawet je powstrzymają. Nie mógł zaprzętać sobie tym głowy, kiedy to hipotermia była największym zagrożeniem. Ani trochę nie czuł się zaniepokojony faktem, iż – pomimo odkrytych przed chwilą obrażeń – poza ukłuciami mrozu nie czuje żadnego bólu.

Pogotowie. Jak najszybciej zadzwonić na pogotowie. Nim znajdą mnie na tym pieprzonym pustkowiu, minie zapewne kilka godzin, ale... To przecież tylko kilka godzin, cholera! Muszę wytrzymać do przyjazdu karetki. Dam sobie radę! Dam sobie radę, spokojnie.

Sięgnął do kieszeni spodni, jednak okazała się ona pusta.

Włożyłem telefon gdzie indziej...?

Zaczął przeszukiwać kolejne kieszenie, czując narastający z każdą sekundą paraliżujący strach.

Kurwa, musiał mi wypaść... Kurwa! Co ja mam teraz zrobić?!

Craig doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, iż nie może liczyć na łut szczęścia – , choć znajdował się niedaleko od drogi, szanse na to, by zwrócić uwagę przypadkowej osoby, która jakimś cudem będzie przejeżdżała tędy o tak późnej porze, były przerażająco niskie.

Chryste, Claire, czemu żyjemy na jakimś pierdolonym końcu świata?! Czemu zamieszkaliśmy na tym odludziu?! Przecież gdybyśmy nadal mieszkali w mieście...

Powędrował myślami dwa lata wstecz. Do dnia, gdy Claire wpadła podekscytowana do mieszkania, w kilka minut opowiedziała mu o wystawionym na sprzedaż ponad stuletnim domu i natychmiast zaproponowała przeprowadzkę.

– Skarbie. – Craig z trudem zachowywał powagę, widząc niemalże dziecięcą radość wypisaną na twarzy ukochanej. – Może zastanówmy się chwilę nad tym? To gdzieś na końcu świata, będziemy tam mieszkać kompletnie sami. Żadnych sąsiadów w promieniu kilku kilometrów. Sądysz, że taka izolacja to dobry pomysł? – Kontynuował wywód, chodząc w kółko po pokoju. – Droga stamtąd do miasta zajmuje jakieś pół godziny, a przecież musimy robić zakupy, załatwiać różne codzienne sprawy... Nie wspominając o tym, że to stary, zapewne bardzo zniszczony budynek, od lat niezamieszany. Trzeba go wyremontować...

Urwał i spojrzał na żonę. Odwzajemnił promienny uśmiech, jakim go obdarzyła. Na widok niesamowitej pasji płonącej w jej błyszczących oczach westchnął z udawaną rezygnacją – ona dopnie swego, wiedział to od samego początku. On sam nie do końca był przekonany co do słuszności własnych argumentów. Czuł, że ów dom mógłby być doskonałym miejscem do pracy nad kolejną powieścią.

Jednak najważniejszym powodem nikłego oporu ze strony Craiga była sama Claire i jej niezłomny charakter. Odmowa i tak na niewiele by się zdała, gdy już coś sobie postanowiła.

– Obejrzyjmy go najpierw – rzucił, wiedząc, że dla niej będzie to w zasadzie jednoznaczne ze zgodą na kupno domu. I w pełni to akceptował.

Claire podskoczyła z radości i objęła swojego męża w pasie, wtulając twarz w jego szyję.

– Wiedziałam – skwitowała, po czym wybuchnęła śmiechem.

Oboje zakochali się w tej smutnej, zaniedbanej budowli od pierwszego wejrzenia, niemal od razu podpisując umowę z właścicielem działki na skraju lasu, jednak bardzo długo musieli wstrzymywać się z przeprowadzką. Spróchniałe ramy okien, dziurawy dach, płaty zaschniętej farby odpadające z odrapanych ścian. Wszechobecne kurz i pleśń, wilgoć i stęchlizna. Nie nadająca się do użytku instalacja elektryczna oraz kanalizacja.

Jednakże, choć z zewnątrz wyglądał na martwy, ten dom nadal żył. Miał duszę, którą postanowili wydobyć na zewnątrz. Kosztowało to mnóstwo czasu, wysiłku i pieniędzy, lecz gdy wreszcie udało się przywrócić stuletnim wnętrzom dawną świetność, rozpierająca ich serca duma w mig zrekompensowała wszelkie trudy.

Stali przytuleni pośrodku salonu, wsłuchując się w wypełniające przestrzeń echo minionych dziesięcioleci, niosące historie dawno już zmarłych mieszkańców domostwa.

– To miejsce jest cudowne – wyszeptała prawie niesłyszalnie Claire.

– Zgadza się, malutka – odparł równie cicho Craig, całując ją w czoło. – My je takim uczyniliśmy.

Nie żałuję tej przeprowadzki. Skąd mi to w ogóle przyszło do głowy... Boże, dopiero co cię odzyskałem, to nie może się tak skończyć!

Craig w okamgnieniu podjął decyzję – dostać się do samochodu, schronić się wewnątrz i przetrwać tam do rana. O tym, co będzie dalej zastanowi się w świetle dnia. Nie było to ani pewne, ani bezpieczne rozwiązanie, lecz beczynność, mimo kilku warstw ciepłych ubrań, które miał na sobie, oznaczała zamarznięcie i niechybną śmierć – wybór wydawał się więc oczywisty.

Powoli przekręcał się na brzuch, gdy nagle, tuż przed sobą, dostrzegł niewielki, ciemny prostokąt, doskonale widoczny na tle leżącego wokół śniegu. Sięgnął po niego. Poczul kojący przypływ nadziei, widząc swą szansę na przeżycie tej koszmarniej nocy. Westchnął z ulgą, gdy pozbawione czucia palce zacisnęły się wokół plastikowej obudowy komórki, a na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

Craig zaczął wciskać gorączkowo wszystkie klawisze, gdy dotykowy ekran smartphone'a nie zareagował. No, dalej. Działaj. Działaj, do cholery, włącz się – mamrotał błagalnie, maltretując kciukiem przycisk zasilania, lecz wyświetlacz uparcie pozostawał czarny. Pierdolony złom! – krzyknął, niezgrabnie ciskając w bok bezużyteczne urządzenie. Mało brakowało, a zsunąłby się ze stoku. Wśród drzew rozbrzmiało nagle skrzekliwe krakanie, brzmiące w uszach Craiga jak szyderczy chichot losu.

Nie mam wyjścia.

Zacisnął zęby i ruszył ostrożnie w dół zbocza, twarzą do przodu, zapierając się rękami. Z jego ust wyrwał się krótki, rozpaczliwy wrzask, gdy złamana noga pod wpływem grawitacji złożyła się na pół jak scyzoryk. Nieobecny wcześniej ból dał teraz o sobie znać. Sącył się niczym jad ze zmiażdżonego kolana i płynął wzdłuż bezwładnej kończyny, by następnie przelać się przez brzuch i sięgnąć klatki piersiowej. Pełznąc, zostawiał za sobą – tak wyraźną na tle otaczającej go zewsząd bieli – szkarłatną smugę, jak ogromny ślimak znaczący przebytą drogę krwistym śluzem.

Dam radę, już niedaleko – powtarzał w kółko, próbując dodać sobie otuchy, jednak coraz bardziej wątpił we własne słowa. – *Mysł o niej! Boże, Claire... Tak bardzo boli.*

Wykonywał oszczędne ruchy, posuwając się każdorazowo o parę centymetrów, za wszelką cenę starając się uniknąć sturlania się w dół niczym ogromna kula śniegowa. Auto wydawało się rozplýwać w ciemności, jakby miało wkrótce zniknąć na zawsze, wzmagając w nim nierozsądną chęć pośpieszenia się.

Nasyp z każdym ruchem zdawał się być coraz bardziej stromy. Craig błyskawicznie stracił wszystkie siły, pokonując w tym czasie zaledwie kilka metrów. Gdy oddychał, z jego gardła wydobywało się niepokojące rżenie, na języku czuł metaliczny posmak krwi. Zatrzymał się na moment, by zaczerpnąć tchu.

Odpocząć. Tylko chwilę, Claire. Dam radę...

Sięgnął dłonią ku twarzy, chcąc otrzeć łzy spływające po policzkach. W tym samym momencie jego druga ręka straciła oparcie, a Craig runął przed siebie.

Po raz drugi tej nocy góra i dół zaczęły zamieniać się miejscami.

Po krótkiej chwili, przepełnionej męką, wrzaskami cierpienia i rozpacz, Craig wylądował u stóp zbocza. Uderzenie plecami w ziemię, pozbawiwszy go tchu, zmieniło krzyk w ochryple skomlenie. Oczy zasłży mgłą, przez którą patrzył na nieosiągalne, choć będące teraz niemal na wyciągnięcie ręki auto. Niespodziewanie ogarnęło go ogromne zmęczenie, któremu pola ustąpił nawet towarzyszący przez całą drogę w dół rozdzierający ból. Opuścił powieki, nie mogąc utrzymać ich ciężaru.

Spokojnie, Claire, już wstaję. Tylko odpocznę.

– Halo, słyszysz mnie?!

Craig z wysiłkiem otworzył oczy i skupił wzrok, próbując rozpoznać rysy twarzy pochylonej nad nim, denerwująco głośnie, postaci.

– Już dzwonię po pomoc, tylko nie zamykaj oczu! Słyszysz mnie?! Rozumiesz, co mówię?! Nie zamykaj oczu!

Gdy nieznajomy wykrzykiwał kolejne zdania z prędkością karabinu, Craig coraz mocniej ulegał pokusie zaśnięcia – obietnicy błogiej nieświadomości, odpoczynku i ucieczki od bólu.

– Tak, ranny mężczyzna! Nie wiem, cholera, w jakim jest stanie! Praktycznie urwało mu nogę, więc zgaduję, że w nie najlepszym!

Odpocznę. Dosłownie moment i zaraz wstaję. Muszę...

— Jestem w samym środku jebanego lasu, nie możecie jakoś namierzyć komórki?!

Poszczególne słowa rozpływały się w mroźnym, nocnym powietrzu, do uszu Craiga docierał już tylko irytujący szum. Nagle wszystko wydawało się tracić znaczenie. Zniszczone auto, zepsuty telefon, chłód wpełzający za kołnierz kurtki, strumienie szkarłatu spływające po jego poturbowanym ciele. Craig kurczowo chwycił się jedynej sensownej myśli.

Claire.

— Jezu, ile tutaj krwi! Wezwałem już pomoc, wytrzymaj jeszcze trochę! Nie zasypiaj, błagam!

Zamilcz. Daj mi chwilę odpocząć. Muszę wstać. Muszę jechać. Do niej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maru, dodano 08.04.2017 11:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.